

Demokrata

ORGAN • NARODOWO • SPOŁECZNEGO • RUCHU • MŁODYCH

Nr. 12.

Toruń, listopad 1935

Rok II.

Czytajcie w nr. 12-ym „Demokraty“

Na widnokręgu

**Zjednoczenie Narodowego
Obozu Pracy**

Wojna włosko-abisyńska
Bronisław Chlebowicz

U źródeł tego wszystkiego...
Verus

Polska klasa robotnicza
Roman Tunkiewicz

Jedność chłopsko-robotnicza

**O program społeczno-gospo-
darczy**
Józef Dubiel

Rola kobiety w naszym ruchu
A. Jarecki

Wygodnictwo duchowe
Feliks Antczak

Na froncie życia

Na froncie politycznym

Bierbankpolitik

Na froncie gospodarczym

Na froncie pracy

Od redakcji

NA WIDNOKRĘGU

Zjednoczenie Narodowego Obozu Pracy

Stosunkowo słabem, jak naznaczenie, które posiada, echem odbiło się w prasie codziennej zgromadzenie robotnicze, zorganizowane w Łodzi, 27 października br. przez wszystkie trzy odłamy Narodowego Ruchu Robotniczego: Narodową Partję Robotniczą, Narodowe Stronnictwo Pracy i Partję Narodowych Socjalistów.

Uczestnicy tego zgromadzenia, w liczbie przeszło 1500, po wysłuchaniu referatów stwierdzili, czego wyrazem są uchwalone rezolucje, że „niema zasadniczych różnic programowych, któreby ich różniły i dzieliły, czy w sprawach politycznych, gospodarczych i społecznych. Te przyczyny, które spowodowały rozłam, dziś już nie istnieją. Po skonstatowaniu tego faktu, zgromadzeni robotnicy łódzcy, członkowie organizacyj narodowo-robotniczych doszli do przekonania, że — „w interesie polskiej klasy pracującej leży odbudowanie jedności i potęgi Narodowego Ruchu Robotniczego czyli połączenie wszystkich odłamów w jedną całość“.

Do tego niezwykłego bądź co bądź zetknięcia się na wspólnym zgromadzeniu po 9 latach rozbiegów doszło po uświadomieniu sobie uprzednio w kołach robotniczych, iż warunki zarówno ogólnego, jak szczególnie ściśle robotniczego życia w Polsce, są dzisiaj tego rodzaju, że narzucają one wszystkim obowiązek myślenia nie o tem, co nas kiedyś podzieliło, ale o przyszłości, którą tylko wspólnym i twardym wysiłkiem możemy uczynić lepszą dla siebie i Polski.

My młodzi, zapowiedź zjednoczenia Narodowego Ruchu Robotniczego witamy ze szczególną radością. Widzimy bowiem w tem zjednoczeniu spełnienie naszych marzeń w kierunku konsolidacji wszystkich niemarksistowskich żywiołów demokratycznych w Polsce, zarówno robotniczych, jak i pracowniczych, społecznie radykalnych, ideowo — politycznie — narodowych. Skonsolidowanie wszystkich tych żywiołów, po zlikwidowaniu „kapliczek“, „sekt“ i „grupek“ będzie punktem wyjścia zarówno dla uzdrowienia stosunków w łonie samego świata pracy, jak i odzyskanie przezeń tej roli w państwie, jaka mu z tytułu użyteczności społecznej się przynależy.

Rolę trzonu w tym przyszłym wielkim ruchu demokratycznym i radykalnym odegrać może wyłącznie Narodowy Ruch Robotniczy. Jego więc konsolidacja i zjednoczenie, czego bezwątpienia dowodem jest zebranie łódzkie z dn. 27 października br., posiada tak wielką wagę.

Połączenie to jest nakazem chwili!

Znając sentyment „dołów“, między którymi żadnymi różnicami nie ma, wyrażamy przekonanie, że i „góry“ nie będą przeciągać pertraktacji bezpłodną walką o kolejność przecinków w programie nowego ruchu.

Stosunki społeczno-polityczne w kraju oraz położenie polskiego świata pracy domagają się

CZYNÓW — A NIE SŁÓW!

Wojna włosko - abisyńska

Od chwili rozpoczęcia swej gwałtownej i szerokiej akcji, mającej na celu zdobycie władzy, Mussolini wystąpił z demagogiczną i zarazem skrajnie nacjonalistyczną propagandą, skarżąc się na mniemane uposiedzenie Włoch, po zwycięstwie państw zachodnich i Stanów Zjednoczonych A. P. nad państwami centralnymi. Żale te były zupełnie nie uzasadnione, gdyż Italia otrzymała więcej niż się jej należało, jakkolwiek Francja i Anglja obiecały jej jeszcze więcej, ale było to wówczas, kiedy Stany Zjednoczone nie przystąpiły jeszcze do wojny; a wszak bez ich udziału wiadomo jakby się skończyła wojna światowa. Samo ich przystąpienie do niej w chwili, w której obie walczące strony były na wyczerpaniu swych sił — miało znaczenie jeżeli nie decydujące ostatecznie, to jednak bardzo duże. Wilson nie uznał pretensyj Włoch, opartych na dawniejszych obietnicach, Dalmacji dotyczących; a Anglja i Francja musiały z tem się liczyć. Zresztą prawdę powiedziawszy, obietnice te były wynikiem nie tyle racjonalnego i słusznego rozważania sytuacji, ile raczej wynikiem trudnego położenia tych ostatnich. Istotnie jeżeli bowiem formalnym powodem wojny była chęć obrony Serbji przed państwami centralnymi, jeżeli w czasie wojny głoszone ciągle ze strony im przeciwnych, że w razie zwycięstwa, będzie ona rozszerzona, a naród serbsko-chorwacki zjednoczony — to przekazanie Włochom Dalmacji, dlatego tylko, aby Adryatyk był morzem italskim oraz ponieważ Tryjest posiadał bardzo stosunkowo dużą ludność włoską — byłoby polityczną niekonsekwencją i anachronizmem.

Dalmacja jest zaludniona przeważnie przez Słowian południowych (Chorwatów), Włosi stanowią nieliczny odsetek. Nawet Tryjest i dziś jeszcze, pod panowaniem Mussoliniego nie jest miastem wyłącznie italskim i kto w niem był, ten wie, że jest tam dużo Niemców austriackich i Słowian (Słoweńców i Chorwatów). Włosi i tak dostali dużo Słoweńców, których obecnie gwałtownie wynaradawiają.

Znalazłszy się u władzy Mussolini nie krył się z tem, że dążeniem jego będzie ekspansja i w prasie faszystowskiej nie brak było nawet dawniej aluzji do zagarnięcia Nicei i Marsylii. Śni mu się i wielki Rzym, opanowanie morza Śródziemnego i t. p.

Włochy są gęsto zaludnione, ale, od szeregu lat, nadmiar ludności Italji znajduje ujście w emigracji zamorskiej i kontynentalnej. Dużo Włochów jest w Ameryce Południowej, zwłaszcza w Argentynie i w Brazylii. W stolicy pierwszej z nich w Buenos Aires stanowią oni 25 procent ludności; większość należy do proletariatu, mniejszość trudni się handlem i bankowością. Ludność robotnicza pochodzi przeważnie z Włoch południowych, w których — jak wiadomo — panuje i dziś jeszcze straszna nędza; emigranci z prowincyj północnych Italji mieszkają w znacznej liczbie na wsi i trudnią się rolnictwem, tworząc warstwę zamożną; dokładnej ilości Włochów w Argentynie nie znamy, jednakowoż znawcy twierdzą, że jest ona bardzo znaczna i wynosi mało co mniej od miliona.

W Brazylii jest ich również dużo, chociaż nie tyle co w Argentynie; ci co trudnią się handlem, przemysłem skupiają się przeważnie w stanie St. Paulo, który jest stosunkowo najbardziej kul-

turalny. Inni są rozproszeni w poszczególnych stanach.

W innych państwach Ameryki Południowej mieszka Włochów niedużo. W Stanach Zjednoczonych Am. Pół. są oni licznie reprezentowani Są to przeważnie robotnicy, ale są też i kupcy, rolnicy i przedstawiciele innych zawodów. W niektórych dużych miastach we Wschodniej części Stanów jest ich po 100 i 200 tysięcy; ogółem jest ich kilka milionów.

We Francji mieszka wielu Włochów. W samej Marsylii na milion mieszkańców jest około 200 000 Włochów, pozatem jest ich dużo i na wsi. Wogóle liczą ich w całym państwie od 850 000 do 900 000.

Widzimy więc, że Włosi mają gdzie emigrować. Prawda, że w latach ostatnich napływ ich do Stanów Zjednoczonych A. P. został mocno ograniczony, tak zresztą jak i Polaków; ale ograniczenia te nie dotyczą Ameryki Południowej.

Zapewne byłoby dla nich lepiej, aby mieli jakieś kolonie własne, w których byłoby dużo miejsca wolnego dla kolonizacji. Ale obecnie planeta nasza jest zajęta. Kto przychodzi późno, dla tego nie ma już miejsca, tak zresztą, jak i dla nas.

Tłumaczenie Mussoliniego, że Włochom jest ciasno, że muszą zdobywać nowe tereny, nie jest przekonywujące, gdyż to samo mogą twierdzić o sobie i inni, a więc np. Niemcy i Chińczycy.

Zresztą Abisynja nie jest odpowiednim terenem kolonizacyjnym. Warunki klimatyczne, nawet dla Włochów z prowincyj południowych nie są dogodne; tylko nieznaczna część tego kraju mogłaby być z pożytkiem użytkowana w celach powyższych przez Mussoliniego. Gdyby był on rzeczywiście wielkim mężem stanu, za którego chce uchodzić i za którego uchodzi w oczach ludzi, wierzących reklamie przez niego uprawianej, to rozpocząłby wielką reformę rolną na południu i w Sycylii. — Rozparcelowałby ogromne latyfundja, źle uprawiane, a częściowo nie wyzyskane, i osadził setki tysięcy ludzi na roli. Pieniądze zużytkowane na wojnę obróciłby na te cele. Ale Mussolini nie chce tego zrobić. On pragnie sławy, chce być zdobywcą, chce pokryć niedomagania wewnętrzne przez fajerwerk w polityce zaborczej. Osuszył on wprawdzie niektóre tereny, osadził tam kolonistów, ale są one stosunkowo nieznaczne, a liczba tych ostatnich mała. Natomiast latyfunda pozostawił nieknięte.

Nacjonalizm jest dlatego tak szkodliwy, że służy zawsze polityce awanturniczej, jest często świadomym a czasem nieświadomym manewrem, odwracającym uwagę od spraw ważnych na rzecz utopij czy fikcyj.

* * *

Co zrobią mocarstwa, a właściwie Anglja i Francja, gdyż ich posunięcia polityczne mieć będą znaczenie decydujące? Co zrobi Liga Narodów?

Ciało to uznało winę Mussoliniego, jako tego, co naruszył pokój. Pozostają więc sankcje, które należy zastosować wobec Włoch. Jakie one będą? Anglja żąda sankcyj skutecznych, to znaczy takich, któreby mogły zaważyć na szali wypadków i zmusić Mussoliniego do zaprzestania wojny i zadowolenia się pewnymi koncesjami terytorjalnymi oraz korzyściami gospodarczymi, przy utrzymaniu niezależności państwowej Abisynji. Anglja obawia się

słusznie, że Mussolini, gdyby mu się udało usadowić w tym kraju zagrażałby kolonjom angielskim i znalazłszy się blisko Suez, przy znanej swej agresywności i megalomanji, mógłby osłabić pozycję jej na Wschodzie.

Na innym stanowisku stoi Laval. Przedewszystkiem, jak się zdaje, zagalopował się poprzednio w pewnych obietnicach względem Mussoliniego, co do swobody jego ruchów w stosunku do Abisynji; następnie obawia się on, aby dyktator włoski, nacisnięty przez sankcje nie rzucił się w objęcia Niemiec. Wreszcie liczy się z pewnemi sympatjami dla Mussoliniego prawicy i centrum francuskiego. — Lewica zaś jest wprawdzie przeciwko Mussolinemu, ale, ponieważ jest przedewszystkiem pacyfistyczna, więc boi się także, aby sankcje nie były zbyt dotkliwe dla dyktatora włoskiego i aby Francja nie była wciągnięta do wojny.

Czy jednak stanowisko Laval'a jest słuszne, czy rzeczywiście ratując Mussoliniego zyskuje tego ostatniego i uniemożliwia mu przez to porozumienie się z Niemcami? Sądzę, że nie. Przedewszystkiem zauważyć należy, że gdyby sankcje przeciwko szefowi rządu włoskiego były dla niego dotkliwe, to jedno z dwojga: albo doprowadziłyby do pobicia Włochów przez Abisynję, albo do cofnięcia się ich z dużemi stratami przed dalszą wojną. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku dużo przemawia za tem, że wówczas Mussolini przestałby być dyktatorem; jego zaś upadek i powstanie rządu nowego zmieniłoby całkowicie sytuację. Stosunek Anglii i Francji do tego nowego rządu mógłby być dobry; wszak Eden zupełnie słusznie odróżnił Mussoliniego od narodu włoskiego.

Dla nowych kierowników polityki Italji Niemcy zawsze stanowiliby niebezpieczeństwo, zawsze mogliby się obawiać przyłączenia Austrii do Niemiec i wspólnej z nimi granicy.

Z drugiej znowu strony, czy pozyskanie przez Francję Mussoliniego, dzięki jej pobłażliwości dałoby jej gwarancję, że będzie on sojusznikiem lojalnym, na którego może ona liczyć? Czy jest on istotnie takim rycerzem bez skazy, zasługującym na zupełne zaufanie? Całe jego dotychczasowe postępowanie każe odpowiedzieć na pytanie to przecząco.

Ale na tem nie koniec.

Czy powodzenie Mussoliniego w wojnie z Abisynją, czy jego bezkarność z jej powodu nie zachęca Niemiec do wojny na południu i wschodzie? Sądzę, że tak. Przecież, jeżeli zbroją się one tak forsownie, to czy zwycięstwo Mussoliniego nie zachęci ich tylko do rozpoczęcia wojny? Co zaś do spraw wewnętrznych we Francji, to pomimo manifestacyj w Paryżu żywiołów wstecznych, nie odważą się one na paraliżowanie akcji Francji, gdyby ta oświadczyła się za zdaniem Anglii, a więc za mocną polityką przeciwko Mussolinemu. Lewica bałaby się trochę, czy to nie wywoła wojny, ale także czynnie nie wystąpiłaby przeciwko rządowi.

Francja liczyć się musi z tem, że potrzebuje bardziej Anglii niż Włoch; wrazie krzyżowania planów Wielkiej Brytanji i Locarno może przestać obowiązywać. Uwagi w tym kierunku robi już prasa angielska.

Jeżeli Laval obawia się zrazić Mussoliniego, aby go nie popchnąć w objęcia Niemiec, to powinien się tembardziej obawiać niezadowolenia Anglii i możliwości zbliżenia się jej do nich.

Tak więc sądzę, że polityka Laval'a, z punktu widzenia francuskiego, jest błędna.

Zaś co do Ligi Narodów, to oszczędzanie Mussoliniego, formalne potępienie go, a faktyczna bierność z jej strony oznaczałaby zupełne jej bankructwo.

Istotnie, dowodziłoby to, że niema ona dostatecznie żadnego znaczenia, że dalsze jej istnienie nie ma sensu. Bierność jej wobec Japonji tłumaczyć jeszcze można trudnością akcji jej na Dalekim Wschodzie; ale jeżeli i w Europie nie będzie ona mogła na nie się zdobyć, to dalsze istnienie jest zupełnie zbyteczne.

Obrońcy Włoch twierdzą: że Anglja zagarnęła ogromną część naszej planety i to jej uszło, a Italji zabrania się zagarnięcia Abisynji, której wartość i przestrzeń w żadnym nie znajduje się stosunku do kolonij angielskich i że wreszcie Abisynja jest państwem barbarzyńskim a Włochy — cywilizowanym.

Argumenty te nie wytrzymują krytyki. Rozumując w ten sposób nie możnaby nigdy zaprowadzić w stosunkach międzynarodowych żadnej gruntownej stałości, gdyż nakładając pewne nowe zobowiązania, dawniej nieznane i niestosowane, spotykanoby się z zarzutem i oporem, wynikającym z tego, że ponieważ dawniej innych państw normy takie nie krępowały, więc z jakiej racji teraz innych mają krępować. Jeżeli coś w przeszłości było złego i jeżeli to tolerowano, to nie znaczy to jeszcze, że i nadal tolerancja ta jest potrzebną; co zaś do barbarzyństwa, panującego Abisynji, to istotnie istnieje tam ono, ale jeżeli robi się państwu temu taki zarzut, to nie należało przyjmować go do Ligi Narodów, z chwilą zaś kiedy przyjętem zostało, to winno być traktowaniem na równi z innemi państwami.

Dodać tu jeszcze należy, że Mussolini nie może znowu uchodzić za reprezentanta tak bardzo cywilizacyjnych metod działania, że system jego, o ile chodzi o cały kierunek, a nie o poszczególne akty, jest raczej powrotem do barbarzyństwa, niż wzlotem do wyższych sfer współżycia.

* * *

Ze stanowiska polskiej racji stanu jest wskazane ostre wystąpienie przeciwko Mussolinemu, raz dlatego, że jak już zaznaczyłem wyżej, tolerowanie jego napaści na Abisynję może tylko zachęcić Niemcy do rozpoczęcia wojny, która prędzej czy później obróciłaby się przeciwko nam, gdyż tylko naiwni ludzie w sanacji wierzyć mogą, że będą one nas oszczędzały; powtóre z tego względu, że Mussolini jest jednym z tych czynników w Europie, które domagają się rewizji granic, ustanowionych przez traktat wersalski, który przecież im w niczem nie przeszkadza.

To też można stwierdzić, że, jak się zdaje, przeważa w społeczeństwie naszym obecnie zdanie, że okiełznanie megalomanji Mussoliniego jest pożądane. Oczywiście prasa sanacyjna i endecka ma dla niego dużo sympatji, będącej wynikiem pewnego rodzaju duchowego pokrewieństwa, które niewątpliwie istnieje pomimo tego, że dyktator włoski pod względem zdolności stoi wyżej od karzełków sanacyjnych i endeckich.

Poza sanacją i endecją jest jeszcze u nas grono ludzi, które zachwyca się nim szczerze i bez myśli ukrytych. Powodem tego są okoliczności następujące: mimowolny podziw dla powodzenia, które nie odbija się bezpośrednio w swych skutkach na nich, wszystkie akty gwałtu, demoralizacji tego systemu, jego wyłączność ustępują w ich świadomości na plan drugi; o całej jego niszczyielskiej dzia-

okres wystąpienia na arenie polityczną w Polsce nowego typu obywatela, który dojrzał teraz, uświadomił się politycznie i żądać będzie należnych mu praw, jako pełnowartościowemu obywatelowi Rzeczypospolitej. Ale oto zaraz z miejsca ten obywatel natrafia na zapory, które uniemożliwiają mu posuwanie się po drabinie społecznej. Wyższe szczeble tej drabiny są już szczelnie zajęte przez inne żywioły, a warunki materialne są tego rodzaju, że n.p. dostęp do szkół wyższych i akademickich staje się wręcz niemożliwym dla synów włościańskich. Ale te zastępy młodych coraz to silniej zaczynają odczuwać swe upośledzenie i coraz trudniej jest im pogodzić się z odebraniem im praw politycznych, których pełnią mogli się cieszyć w początkach państwowości polskiej.

Wiadomo obecnie, że wszystkie wybitniejsze jednostki, które w ciągu ostatniego półwiecza a nawet i dawniej uczestniczyły w ruchu niepodległościowym, uważały ostateczne rozwiązanie sprawy ludowej w Polsce za nieodłączne od samego zagadnienia niepodległości. Aby zrozumieć, jak daleko

w tej dziedzinie odbiegła współczesna Polska od innych narodów, dość porównać stosunki polskie z odnośnymi stosunkami, panującymi w współczesnej Francji, wśród narodów słowiańskich lub skandynawskich. Przeważna część prezydentów Francji z ostatnich lat kilkudziesięciu pochodziła wszak z ludu, jak również wielu z czynnych polityków.

Kontraselekcja typu człowieka i obywatela, którą musi pociągnąć za sobą ustrój klikowo-protekcjonalny, na dłuższy czas mogłaby zahamować naturalny rozwój i postęp kultury i twórczości narodowej. Nietylko na arenie politycznej nie mogłyby ukazywać się jednostki, reprezentujące ideologię demokratyczną, ale również i świat naukowy i katedry uniwersyteckie musiałyby być pozbawione indywidualności niezależnych i umysłów twórczych, czego świadkami do pewnego stopnia jesteśmy już obecnie. Na szczęście migotliwa powierzchnia dnia dzisiejszego kryje pod sobą potężne przemiany społeczne, które prą naprzód, a których nie zdołają powstrzymać żadne sztuczne, pseudoustrojowe okowy.

Verus.

ROMAN TUNKIEWICZ

Polska klasa robotnicza

(Ciąg dalszy)

Istniały w Królestwie starcia pomiędzy robotnikami a przemysłowcami, ale wiemy o nich bardzo mało. Znane nam są dwa strajki: Jeden w fabryce tkanin bawełnianych May'a w Warszawie na Solcu w 1825 roku, spowodowany został przez niedotrzymanie obietnicy danej robotnikom sprowadzonym z zagranicy, dotyczącej mieszkania, opału, światła i pościeli; strajkowało około 200 ludzi, policja interwenjowała, aresztując natychmiast przywódców, robotnikom zarzucono nieprzyzwoite zachowanie się wobec właściciela fabryki i groźenie śmiercią niestrajkującym; wkońcu udało się policji i „komisarzowi fabryki“ nakłonić robotników do podjęcia pracy, zwrócono też uwagę strajkującym, że tylko indywidualne prośby, a nie zbiorowe, mogą być podawane do rządu. Drugi wypadek strajku dotyczy wypadków w dniach 30 i 31 października 1827 roku w Zgierzu; musiały to być rozruchy poważne czeladników sukienniczych, skoro trwały dwa dni, a komisja województwa Mazowieckiego wystosowała do majstrów w tym fachu podziękowanie za skuteczną pomoc w tłumieniu wynikłych nieporządków; powody jednak tych zajść nie są nam, niestety, znane. Prawdopodobnie strajków musiało być więcej; trudno bowiem przypuścić, aby liczba ich, w ciągu lat kilkunastu, ograniczała się tylko do dwu.

Najcięższe warunki pracy istniały niezawodnie w górnictwie. Na zasadzie rozporządzenia z 1817 roku stworzono Korpus Górniczy, w skład którego wchodził, prócz wyższych i średnich urzędników, także robotnicy zwykli. Organizacja dzieliła się na 8 klas. Pierwsze pięć klas obejmowało różnych urzędników, VI tworzyli kopiści, hutmani i inni, VII zaś górnicy, czeladź górnicza, prości robotnicy, a więc wozacze, ciągnące i t. p. Członkowie korpusu byli zapisywani do specjalnej księgi, obejmującej stan ich służby. Obowiązki wszystkich pracujących były szczegółowo określone. Według przepisów każdy członek korpusu powinien być wytrzymały na cierpienia fizyczne i moralne, nie opuszczać

posterunków, odznaczać się przytomnością umysłu, zachowywać subordynację. Oficjaliszi obowiązani byli czuwać nad bezpieczeństwem górników, a więc oglądać stan kopalń przed wpuszczeniem robotników do pracy (wytrzymałość skał, kołowrotów, drabin, lin, cembryn, rusztowań). Szczególnie nakazywano pilnować, aby niedopuszczać do pracy pijanych robotników, chorzy zaś, po wyleczeniu, powinni przedstawiać świadectwa lekarskie. Żydom, na podstawie dawnych rozporządzeń Zygmunta III z 1596 r. i Jana III z 1693 r., wzbraniano pracować i przebywać w kopalniach.

Wyżej widzieliśmy, że chwilowo ich przyjmowano.

Wszyscy funkcjonariusze kopalń i hut nie płacili żadnych podatków osobistych, wolni też byli od służby wojskowej, a praca ich uważana była za rządową²⁾.

Górnicy i hutnicy posiadali swoje stowarzyszenia emerytalne, zwane także Kasami Brackimi. Każdy członek kasy wpłacał składkę jednego grosza od jednego złotego zarobku, albo kwartalnie odrabiał jedną szychtę na rzecz tej kasy, lub płacił kwartalnie za nieodrobioną przez siebie szychtę pewną sumę, w zależności od klasy, do której należał. W razie choroby podczas pracy lub z powodu pracy członek kasy otrzymywał wsparcie w wysokości połowy pensji, poczynając od drugiego miesiąca choroby. Przez pierwszy miesiąc choroby wypłacała kasa fabryczna wsparcie. Poza tem Kasa Bracka pokrywała koszty leczenia, pogrzebu i wypłacała emeryturę. Te ostatnie były niskie, ale górnicy byli do nich bardzo przywiązani³⁾.

Do kopalń przyjmowano dzieci od lat 12 na górze, a od 15 na dole. Praca zwykła trwała zwykle godzin 12, ciężka 8.

* * *

²⁾ Boss: Sprawa robotnicza w Królestwie Polskiem, str. 23.

³⁾ Gąsiorowska: Górnictwo i Hutnictwo w Królestwie Polskiem, str. 68, 428 i 429.

Rozporządzenie namiestnika z dnia 31 grudnia 1816 roku normowało stosunki rzemieślnicze w sposób dokładny. Zrywało ono z dawną monopolistyczną zasadą cechów, dającą przywilej członkom ich na wyrabianie pewnych przedmiotów, z drobnozgodem przepisami, określającymi sposób wyrabiania ich. Były to cechy dodatnie owego rozporządzenia, otwierały bowiem każdemu drogę do pracy, który chciał ją wykonywać i usuwały przeszkody na drodze postępu technicznego w metodach pracy, gdyż nie narzucały jej szablonu; wreszcie usuwały to, co spowodowało zwyrodnienie cechów dawnych, w późniejszym okresie ich rozwoju — utrzymywanie wyzwalania czeladników na majstrów, otwierając pierwszym możliwość łatwego wejścia do grona drugich.

Rozporządzenie tworzyło zgromadzenia poszczególnych rzemiosł z Urzędami Starszych na czele w tych miastach, w których było przynajmniej 10 majstrów danego fachu; gdyby nie było w jakimś mieście tej ich liczby, wówczas należało tworzyć zgromadzenia okręgowe, łącząc majstrów z paru, czy kilku miast oraz osad; Urząd Starszych pozostawał w zależności od Prezydenta w Warszawie, a od Burmistrzów w innych miastach.

Postanowienie zobowiązywało Urzędy Starszych do przygotowywania spisów uczniów, czeladników i majstrów, określając szczegółowe warunki przyjmowania pierwszych, drugich i trzecich. Kandydat na ucznia musiał się zgłaszać do Urzędu Starszych, a nie wprost do majstra. Urząd zasadniczo musiał przyjąć kandydata, za wyjątkiem chorych fizycznie i umysłowo. Rodzice i opiekunowie mogli wybierać majstra, u którego syn czy wychowanek miał pracować; w razie niekorzystania z prawa tego, Urząd sam wyznaczał warsztat, w którym kształcić się miał w zawodzie uczeń. — W razie zbyt dużej liczby uczniów w danym zawodzie — Urząd miał prawo odmówić przyjęcia nowego; decyzja ta jednak mogła mieć tylko charakter tymczasowy. Czas próby u majstra trwał cztery tygodnie.

Rozporządzenie zobowiązywało tego ostatniego do umożliwienia uczniowi nabycia wszystkich wiadomości do prowadzenia rzemiosła. Dla uczniów analfabetów przeznaczono 6 godzin w tygodniu na uczęszczanie do szkoły.

Uczeń winien był majstrowi posłuszeństwo, albo starszemu czeladnikowi, zastępującemu go. Poza fachową pracą ucznia, majster posiadał prawo zatrudniania go zajęciami domowymi i wymierzania mu t. zw. „mniejszej ojcowskiej kary“, pod którą mileżąco rozumiano karę cielesną.

Dwa te ostatnie uprawnienia majstra były szkodziące, gdyż zwykle uczniów używano do posług, które zajmowały dużo czasu, odrywając chłopca od jego zajęcia głównego, fachowego, co powodowało dłuższy okres przygotowywania się do zawodu. — Nadto taki uczeń często wysługiwać się musiał pani majstrowej, bawić dzieci, podlegać jej kaprysom i znosić od niej kary cielesne.

Przepisy te były przeżytkiem „czasów patriarchalnych“. Legalizowanie kar cielesnych prowadzić musiało do nadużyć.

Gdy majster źle obchodził się z uczniem, ten mógł zawiadomić o tem Urząd i prosić o przeniesienie go do innego. Ci, którzy uciekli od majstra, u którego pracowali, zmuszeni byli do całorocznego odszkodowania go; pozatem u nowego majstra musieli pracę rozpoczynać na nowo, przez co nie zaliczano im czasu pracy u majstra, od którego

uciekli. Przepis ten był bardzo niekorzystny dla uczniów.

Na wypadek choroby ucznia, majster winien był mieć starania o niego. Rozporządzenie nie mówi jednak na czym miało ono polegać. Pilnemu i zdolnemu uczniowi majster miał prawo skrócić umówiony czas nauki zawodowej o jedną trzecią; kiedy jednak przyszedł czas wyzwolenia na czeladnika, to musiał ich dokonać, jeżeli uczeń wykonał wszystkie powinności. W razie przeciwnym zobowiązany był do wynagrodzenia poszkodowanemu poniesionych strat.

Czeladnicy musieli być zaopatrzeni w książkę rzemieślniczą, którą Urzędy wydawały im bezpłatnie. Majster nie mógł jej zatrzymać obowiązany był zapisać w niej przyczyny odejścia czeladnika. Majster przyjmujący czeladnika bez książki kacił karę 30 złotych. Czeladnik zaś, nie mający książki uważany był za włóczęgę. Czeladnik zobowiązany był do t. zw. wprawy i wędrowania w ciągu 2 lat. Rola majstrów polegała nie tylko na kierownictwie w pracy czeladników w warsztatach, lecz także na pieczy nad sprawowaniem się ich i nad ich obowiązkami religijnymi.

Tutaj znowu widzimy przeżytki „czasów patriarchalnych“.

Porzucanie pracy przez czeladników, czy też niestawanie do niej, było bardzo surowo karane i groziło użyciem środków policyjnych, a opierający się karani byli 4-tygodniowym pobytem w Domu Poprawy i odebraniem Listu Wyzwolenia. Interwencja policji stwarzała grunt do nadużycia władzy, zwłaszcza po upadku Królestwa i za czasów rządów Paszkiewicza, które odznaczały się szczególną brutalnością, zwłaszcza w stosunku do rzemieślników i robotników.

Podczas trwania pracy w warsztatach, wszelkim gospodom, szynkom zabraniano przyjmować czeladników, a zwłaszcza ugaszczać ich trunkami.

Majster nie mógł zmusić czeladnika do żadnych robót domowych. Wzajemny termin wypowiedzenia pracy był dwutygodniowy.

Czeladnicy, pracujący w fachu u majstra lat 3, mieli prawo do wykonywania „sztuki mistrzowskiej“ i ubiegać się o majsterswo.

Rozporządzenie zabraniało majstrom wchodzić w sprawę, dotyczącą podwyższania ceny wyrabianych przez nich towarów. Nie zabraniało ono jednak nikomu sprzedawania gotowej roboty.

Rozporządzenie tu omawiane wyłączało z przepisów powyższych wszystkie rękodzielnie i fabryki, za wyjątkiem czeladzi tam pracującej, która winna była być zaopatrzoną w książki rzemieślnicze.

Widzimy więc, że właściwe i robotnicy, pracujący w manufakturach i fabrykach, podlegali normom, zawartym w rozporządzeniu namiestnika z 31 grudnia 1816 roku.

Z powyższego przedstawienia rzeczy widzimy, że stanowisko czeladników, a więc i robotników w owym czasie, w stosunku do majstrów i fabrykantów, było bardziej zależne, niż w wieku XVII i XVIII w starych cechach polskich, w których, związki czeladników wywalczyły sobie bardzo znaczną samodzielność.

Za czasów Królestwa nie słyszymy zupełnienia o tych związkach. Czemu to przypisać?

Za mało mamy materiałów źródłowych do dania odpowiedzi stanowczej na pytanie powyższe. Możemy tu tylko robić pewne przypuszczenia. — Otóż sądzę, że możliwość swobodnego oddawania się

pracy wytwórczej poza organizacją cechową, a następnie stosunkowa łatwość wyzwalania się czeladników na majstrów — wszystko to w połączeniu spowodowało rozluźnienie się dawnej solidarności czeladników, zanik ich organizacji, co oczywiście pociągnęło za sobą skutki bardzo ujemne. Dopiero po latach wielu, na tle fabrycznych stosunków robotniczych, po szeregu walk politycznych, powstały zawodowe związki robotnicze o czym pisać będę dalej.

* * *

O stosunkach robotniczych na innych ziemiach polskich mało mam do powiedzenia; zarówno z powodu braku odpowiednich materiałów, jak i z tego względu, że ich życie gospodarcze nie odznaczało się w owym czasie żadnymi cechami wybitnymi; muszę się jednak zatrzymać na ogólnej charakterystyce reformy włościańskiej na ziemiach polskich, będących wówczas pod rządami Prus, a więc w Prusach Zachodnich. w W. Ks. Poznańskim i na Śląsku. Reforma ta w Galicji przypada na okres późniejszy, więc jej tu omawiać nie będę.

Wojna Napoleona z Prusami w początkach wieku XIX zastała włościan w ciężkim poddaństwie, a jakkolwiek prawo zabraniało rugowania ich, w dobrach prywatnych, z ziemi będącej w ich użytkowaniu i włączaniu jej do obszarów dworskich, to jednak, t. zw. rugi włościan odbywały się faktycznie. Jedynie w dobrach państwowych rząd rozpoczął na samym końcu wieku XVIII pewne reformy. Z ziem polskich, należących do Prus, tylko t. zw. Prusy Zachodnie czyli Królewskie według dawnej terminologii, miały duże dobra koronne z dość znaczną ilością włościan i dlatego w prowincji tej reformy przyniosły pewną korzyść włościanom.

Pierwszym krokiem w tym kierunku było wydanie instrukcji dla Prus Zachodnich w 1799 roku, którą później zastosowano i do Prus Wschodnich. W niej nakazywało się: „zniesienie powinności, jakie ciążyły na włościanach dominjalnych (państwowych), lecz tylko o tyle, o ile dotyczą pracy na roli dominjalnej, powinności zaś inne, charakteru „publicznego“, szarwarki dla utrzymania grobli i dróg, robota przy budowlach, furmanki dla leśnictwa i dostawy zbożowe, posyłki, podwozy i t. p. nie miały ulegać żadnej zmianie. Więc mają być zwolnieni od robót pańszczyźnianych na roli; przytem zmiana ta nie ma być przymusowa; jeżeli chłopci wolą zostawać na starych warunkach, to zostają. Dalej instrukcja stosuje się tylko do włościan, odrabiających pańszczyznę sprzężajem; chałupnicy, komornicy jak dawniej mają odrabiać pańszczyznę. Co do indemnizacji (wynagrodzenia za zniesienie tej pańszczyzny), to tę wyznaczać mieli komisarze „stosownie do warunków miejscowych“. Za normę wyznaczano: za każdy dzień pańszczyzny sprzężajem — 30 groszy, za każdy dzień pańszczyzny pieszej — 15 groszy. Inwentarza chłopcy wykupywać nie potrzebują, zostaje w ich posiadaniu, lecz własnością pozostaje królewską. Zagrody pozostają również własnością królewską, chyba, że chłopcy zgłoszą się z zamiarem wykupu i zapłacą odpowiednią indemnizację, ale użytkują je włościanie. Dla powetowania ubytku siły roboczej zarządy dominjalne miały sprowadzać robotników rolnych, osadzać ich na gruncie, wyznaczając dla rodziny chałupę i morgę magdeburską roli...¹⁾.

Obrachunek szczegółowy wykazał, że osadzenie 438 rodzin wynagrodziło państwu sowiec utratę pańszczyzny.

W kilka lat później, po porażkach wojennych Prus, włościanie ci w r. 1807 zostali uwłaszczeni. Mowa tu oczywiście o włościanach państwowych. Jako wynagrodzenie za pozostałe powinności i za inwentarz musieli oni okupić się bądź to gotówką, bądź też rentą 5% szacunku; czwarta część tych opłat ciążyła na roli jako podatek gruntowy, reszta ulegała regulacji.

Pozostawała sprawa uwłaszczenia włościan w dobrach prywatnych. Zniesienie bowiem poddaństwa nastąpiło na skutek edyktu z 9 października 1807 roku, który jednocześnie zapowiadał i zniesienie pańszczyzny. Ta ostatnia miała zniknąć wraz z uwłaszczeniem, które nastąpiło nie prędko.

Jeszcze za czasów polskich, położenie włościan w Prusach Wschodnich (odpowiadających obecnie naszemu Pomorzu, ale nie pokrywających się z niem całkowicie) lepszym było niż na innych ziemiach, za wyjątkiem może Żmudzi, a to dlatego, że istniała tam pewna ilość włościan wolnych od poddaństwa, siedzących na dziedzicznych dzierżawach, a prócz tego, jak już zaznaczyłem, było dużo dóbr państwowych, w których powinność włościan była mniejsza niż w prywatnych.

Uwłaszczenie rozpoczęło się tam w omawianym okresie czasu, nie wchodząc tu w szczegóły, dotyczące jego rozmaitych etapów, zaznaczę tylko wyniki: otóż do 1848 roku, t. j. do wybuchu rewolucji w Prusach w dwu regencjach Gdańskiej i Kwidzińskiej — powstało razem 7 295 gospodarstw, właściciele których zostali uwłaszczeni, uzyskawszy razem 602 472 morgów. Uwłaszczeniu podległy gospodarstwa sprzężajne, a więc większe, natomiast drobne zostały pominięte, jak również pominięto ogrodników, komorników, chałupników. Burza rewolucyjna w 1848 roku spowodowała w Prusach i w Niemczech wogóle, silne rozruchy chłopskie, które zaszczęła na Śląsku, wielkie przybrały rozmiary. Grupy włościan nieuważanych domagały się uwolnienia od ciężkich powinności; dzięki temu ruchowi rząd w roku 1850 zniósł pańszczyznę, jaka jeszcze pozostała. Otóż w tym czasie uwłaszczono jeszcze w Prusach Zach. właścicieli 1 669 gospodarstw, obejmujących przestrzeń 89 047 morgów. Warunki uwłaszczenia w Prusach Zachodnich korzystniejsze były dla włościan, niż w innych częściach państwa, a także niż w Poznańskim i na Śląsku; bowiem w całym państwie włościanie musieli przeważnie odstąpić $\frac{1}{3}$ część uprawianej ziemi dziedzicom, oprócz odszkodowania pieniężnego za rozmaite powinności; natomiast w Prusach Zachodnich ustąpili tylko $\frac{1}{13}$. Obszar przeciętny gospodarstw uwłaszczonych w Prusach Zachodnich wynosił według Meitzena 77 morgów, w Poznańskim 55, a na Śląsku tylko 23. Rozmiar gospodarstw w rozmaitych powiatach był bardzo różny. Prócz tego uwolniono od danin i powinności 25 964 włościan, bez nadania im gruntów. W W. Ks. Poznańskim uwłaszczenie rozpoczęło się w 1823 r. Do rewolucji 1848 roku uwłaszczono właścicieli 25 086 gospodarstw w obu regencjach, zajmujących przestrzeń 1 388 020 morgów. Po roku 1848 uregulowano jeszcze 1 388 gospodarstw, obejmujących 69 788 morgów. — Razem więc powstało gospodarstw 26 471 o obszarze 1 456 818 morgów. — Prócz tego uwolniono od danin i powinności 88 918 włościan bez nadawania im gruntów. W Poznańskim włościanie, oprócz wynagrodzenia pienięż-

¹⁾ Marchlewski: Stosunki ekonomiczno-społeczne w ziemiach polskich pod rządem pruskim, str. 81 i 82.

nego ustąpili dziedzicom $\frac{1}{6}$ swych gruntów, a więc także mniej niż w innych częściach państwa. Tłumaczy się to tem, że rząd pruski nie oszczędzał polskich właścicieli ziemskich, tak jak niemieckich — uważając pierwszych za czynnik politycznie dla państwa niepewny, oraz, że chciał pozyskać chłopów. Zobaczymy później, że w Królestwie Polskiem przy uwłaszczeniu powtórzy to samo rząd rosyjski, po powstaniu 1863 roku obdzielił ziemią w 1864 r. włościan obficie, niż to zrobił w rdzennej Rosji w 1861 roku.

Najniekorzystniej wyszli na uwłaszczeniu włościanie na Śląsku. Złożyły się na to rozmaite przyczyny, związane z historycznymi warunkami, w jakich rozwijała się ta polska dzielnica.

Śląsk — jak wiadomo — wcześniej stosunkowo wszedł w bliskie stosunki ze Świętym Rzymskiem Cesarstwem Narodu Niemieckiego, po usunięciu starszej linii Piastów z dzielnicy Krakowskiej i Śląskiej, która przez związki rodzinne uzyskała poparcie cesarza. Stało się to w końcu pierwszej i początkach drugiej połowy wieku XII.

Stosunki te z Niemcami nie były luźne, lecz przeciwnie — ścisłe. Na Śląsku osiadali nie tylko koloniści z pośród mieszczan i włościan, ale także i rycerze szlachta. To też feudalne stosunki tej dzielnicy były podobne do niemieckiej i różniły się w pewnym stopniu od naszych, w których feudalizm, o ile chodzi o Koronę, t. j. ziemie rdzennie polskie nie istniał w formie zachodnio-europejskiej. Feudalizm ten bujnie rozwinął się na Śląsku i całym swym ciężarem przyniósł włościan. Podzielony na mnóstwo drobnych dzielnic, mających swoich książąt udzielnych, walczących z sobą — Śląsk stał się terenem ciągłych walk, bardzo niekorzystnie odbijających się na ludności włościańskiej, która musiała utrzymywać liczne dwory książąt drobnych i zubożałych, potrzebujących pieniędzy. To też lud ten obciążony był licznymi dokuczliwymi powinnościami, które przetrwały do wieku XIX.

Na Śląsku też istniała najpotężniejsza niemiecka magnaterja, posiadająca rozległe dobra i mająca olbrzymi wpływ u dworu w Berlinie.

To też zdołała ona tam daleko lepiej bronić swych interesów, w czasie przeprowadzania reformy włościańskiej, niż wielcy właściciele ziemscy w innych prowincjach państwa. Nie mogę tu wchodzić, dla braku miejsca, w opisywanie tych wszystkich sztuczek, jakich używali panowie śląscy celem okradzenia z ziemi swych włościan pańszczyźnianych, wskażę tylko na wynik ogólny. Na Śląsku było bardzo dużo t. zn. „ogrodników“, różniących się od włościan zwykłych tem: 1) że rola, na której mieli gospodarstwa nie tworzyła zwartego kompleksu ziemi gromadzkiej, lecz była rozsiana na kilku dworskich; 2) że oprócz przyjętych powszechnie powinności, obciążeni byli różnymi dodatkowymi, zwykle odbywali służbę sprzężajem, ale oprócz tej pańszczyzny ciążył na nich obowiązek stawiania, na każde zawołanie, do robót innych, za które otrzymywali bardzo niskie płace. W innych dzielnicach pruskich byli chałupnicy, odbywający tylko służbę pieszą, na Śląsku ich nie było, a owi „ogrodnicy“ odbywali jedną i drugą. Ponieważ edykt pruski z 1811 r. miał na uwadze, przy uwłaszczeniu specjalnie włościan, odbywających powinności sprzężajem, więc ponieważ na Śląsku odbywano je jeszcze i pieszo, więc jeden z magnatów, hrabia Henkel von Donnersmark wytłumaczył królowi i ministrom, że owi „ogrodnicy“ są półchałupnikami i że dlatego nie powinni podle-

gać normom ogólnym, ustanowionym przez edykt 1811 roku. Ostatecznie pod datą 27 VII 1827 roku wydano prawo, mocą którego domagać się mogli regulacji, nie ci wszyscy, co powinności swe odbywają sprzężajem, lecz część ich tylko, ci mianowicie, których gospodarstwa posiadają przynajmniej 25 morgów ziemi. To też historyk włościan, Niemiec Knapp wskazuje na to, że na Górnym Śląsku już gospodarstwo od 6 do 8 morgów potrzebowało sprzężaju, że więc wielka liczba „ogrodników“, posiadających od 6 do 25 morgów, pomimo posiadania sprzężaju — wykluczoną była od reformy. — Właściwie więc regulacji podlegały tylko wielkie gospodarstwa włościańskie. Z pośród zaś małych, od 1827 do 1846 roku tylko 10-ciu (wyraźnie: dziecięciu) ich właścicieli zostało uwłaszczonych.

Do roku 1848 na Górnym Śląsku uregulowano 154 994 morgów, W niektórych powiatach jak w Niemodlińskim, Grotkowskim, Nisskim nie było ani jednej regulacji. Wykup w gotówce był też ogromny. Po rewolucji 1848 roku uwłaszczono jeszcze pewną ilość włościan, ale mamy tylko liczby dla całego Śląska, a nie specjalnie dla Górnego. Ale i wówczas włościanie śląscy zostali pokrzywdzeni, co wynika z tego, że podczas gdy w Prusach Zachodnich przeciętna wielkość uregulowanego gospodarstwa wynosiła 77 morgów, w Poznańskim 55 — to na Śląsku tylko 23.

Tak przedstawiała się reforma włościańska na ziemiach polskich w Prusach.

Rozpoczęła się ona, jak widzieliśmy, za czasów Królestwa Kongresowego, bo przed rokiem 1831, ale dopiero rewolucja 1848 roku, obfitująca w burzliwe, a często krwawe rozruchy chłopskie — doprowadziła je do końca.

Chociaż przyszła dla włościan z dużemi ofiarami, chociaż na Śląsku wprost ograbiono włościan — dobrze się stało, że wreszcie pańszczyzna zniknęła. Miało to dobre skutki nie tylko dla samych włościan, w zaborze pruskim, ale i dla przyszłości Narodu naszego, co wyraźnie stwierdziły późniejsze wypadki.

* * *

Królestwo Kongresowe od samego początku swego istnienia oparte było na niepewnej podstawie. Formalnie było państwem, posiadającym dosyć, jak na owe czasy, liberalną konstytucję, census wyborczy był niski, niższy niż we Francji w tym czasie; z drugiej jednak strony państwo to związane było z absolutną Rosją, w której car był wszystkim, a naród nie tylko w swej całości, ale nawet w swych warstwach wyższych nie posiadał żadnych praw politycznych. Car rosyjski, przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa w Rosji, miał być konstytucyjnym królem polskim. Tak więc w jego osobie łączyć się miały ze sobą dwie dusze, dwu ludzi na odrębnych stanowiskach, panujących nad dwoma narodami o całkiem innej przeszłości i psychice. Warstwy najwyższe w Rosji, to znaczy: arystokracja, wysoka biurokracja i wojskowość — w osobach swych wierzchołków — były przeciwne nadaniu konstytucji Królestwu. Ogromna większość warstw tych była zwolenniczką absolutyzmu i tylko po roku 1815, zaczęły się spiski, dążące do wolności politycznej w Rosji, które po latach kilku objęły kilkuset oficerów, przeważnie młodych, średnich wówczas rang, chociaż między nimi byli członkowie wyższej szlachty, a nawet książęta. Ale i w tych spiskach dużo było takich, początkowo przynajmniej, którzy byli przeciwnikami konstytucji Królestwa.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jedność chłopsko-robotnicza

Nasz głos w aktualnej dyskusji

Tygodnik „Wici“ — organ Związku Młodzieży Wiejskiej od kilkunastu tygodni prowadzi na swych łamach ciekawą dyskusję na temat stworzenia wspólnego frontu robotniczo-chłopskiego. Zabierało w tej dyskusji dotychczas czterech młodych chłopów i jeden robotnik (socjalista) z Warszawy. Wszyscy oni jednomyślnie wypowiedzieli się w tym duchu, że „Wspólny front“ jest koniecznością. Celem zaś jego — obalenie ustroju burżuazyjno-kapitalistycznego i stworzenie w to miejsce „ustroju opartego na zasadach sprawiedliwości społecznej“. Przyczyną, dla której chłopci winni porozumieć się z robotnikami jest to, że jedni i drudzy w jednakowej dziś znajdują się sytuacji. Cierpi chłop, gnębiony przez podatki, wyzyskiwany przez pośredników i przemysłowców kartelowych, odsuwany od szkół; cierpi robotnik, tysiącami wyrzucany na bruk, bez kawałka chleba i dachu nad głową, pracujący za grosze w pocie czoła w dymie i huku fabrycznym.

Dróg prowadzących do tej jedności dyskutanci nie podają, jak również nie formułują tego, jak ma wyglądać ten nowy ustrój. Mówią natomiast, bardzo słusznie zresztą, że „obustronne zrozumienie swoich interesów, w imię których jedność ma nastąpić“ winno poprzedzić właściwą akcję. Żeby zaś zrozumienie dokonało się, zalecają wygadanie się i „dogadanie“ obu stron.

Po linii tego ostatniego zalecenia idąc, pragniemy również, jako młodzież narodowo-robotnicza, zabrać w tej dyskusji głos.

Godzimy się całkowicie z tymi wszystkimi, którzy bądź to na łamach „Wici“, bądź „Młodej Myśli Ludowej“, bądź socjalistycznego „Tygodnia Robotnika“ dowodzą konieczności wspólnego frontu chłopów i robotników dla walki z faszyzmem i przebudowy dzisiejszego ustroju społeczno-gospodarczego.

To nie ulega najmniejszej wątpliwości, to jest oczywiste. Wątpliwości rozpoczynają się dopiero wówczas, gdy trzeba konkretyzować pojęcia. Mianowicie, co rozumiemy pod „wspólnym frontem“ chłopsko-robotniczym? Czy ogół chłopów i ogół robotników? Czy organizacje chłopskie i robotnicze?

Nie może być dwóch zdań co do tego, że tylko organizacje, bo „ogóły“ żadnego frontu tworzyć nie mogą. Jeżeli więc organizacje, to jakie? Gdyby rzeczy tak stały, że chłopci posiadaliby jedną organizację i robotnicy jedną — sprawa byłaby prosta. Wystarczyłoby, gdyby one się porozumiały, nakreśliły cel

i sposoby jego realizacji. Ale tak niestety nie jest. Zarówno w obozie chłopskim, jak i w robotniczym, w tym ostatnim szczególnie, panuje dzisiaj olbrzymie rozproszkowanie. Weźmy dla przykładu odcinek robotniczy. Działają tu następujące organizacje: komuniści dwu odcieni, Polska Partja Socjalistyczna, P. P. S. d. Fr. Rewolucyjna, Z. Z. Z., Z. Z. P., Narodowe Stronnictwo Pracy, Partja Narodowych Socjalistów, Narodowa Partja Robotnicza, Chrześcijańska Demokracja itd. Jedne z nich są mniejsze, inne większe, jedne więcej rozpowszechnione na zachodzie Polski, inne w centrum lub na południu. Można sobie coprawda uprościć zagadnienie, jak to niektórzy robią, i uznać Stronnictwo Ludowe wraz z „Wiciami“ za reprezentację chłopstwa, zaś P. P. S. i K. P. P. za organizacje robotników, wszystko zaś inne odrzucić jako „zamaskowanie nie będzie wspólnym frontem chłopsko-robotniczym, lecz wspólnym frontem chłopsko-robotniczym, lecz wspólnym frontem S.L., P.P.S. i K.P.P. wraz z Bundem, Cukunftem, niemiecką i ukraińską partją socjalistyczną. Poza nawiasem tego „frontu“ zostaną olbrzymie rzesze narodowych robotników, a jesteśmy przekonani, że i chłopów, którym napewno nie uśmiecha się też braterstwo z żydowskimi, niemieckimi i ukraińskimi socjalistami i komunistami. — Dalecy jesteśmy od nacjonalizmu w stylu endeckim czy hitlerowskim, nie mamy zamiaru wybijać żydowskich szyb i organizować pogromów, ale również nie mamy zamiaru i powodu patryjotycznie i demokratycznie usposobionych chłopów i robotników wypychać w objęcia polskich hitlerowców a la Tadeusz Bielecki, co z konieczności musiałoby nastąpić, gdyby wspólnym frontem zostali objęci również komuniści i socjaliści obcych narodowości.

Na tak szeroko zakrojony front ani ze względów ideowych, ani taktycznych pisać się nie możemy.

Dążąc do jedności chłopsko-robotniczej mamy na myśli porozumienie się polskich chłopów z polskimi robotnikami, ściślej mówiąc — polskich organizacji chłopskich z polskimi organizacjami robotniczymi. Żywioły obce, niezwiązane wspólną krwią i tradycją z ziemią polską — winne być ze wspólnego frontu wyłączone.

Droga do tej jedności prowadzi naszym zdaniem przez odbudowanie Centrolewu, jako nadorganizacji, złożonej z przedstawicieli wszystkich tych grup, które mogą się zgodzić na program:

Polska Ludowa — a nie Republika Rad.

Z. F.

JÓZEF DUBIEL

0 program społeczno-gospodarczy

Ruch polityczny, którego ambicje sięgają poza kawiarniane i konferencyjne sukcesy, musi respektować podstawowe potrzeby i dążenia mas. Demokracja, która przeciw siły swej nie czerpie z armij, ani z zasobów czyjegokolwiek autorytetu, lecz wyłącznie z mas, musi o tem pamiętać bardziej, niż jakikolwiek inny ruch polity-

czny. A potrzeby mas tylko w bardzo ograniczonej mierze są wynikiem działalności polityków; są one przede wszystkim skutkiem obiektywnych warunków życiowych. Wobec tego zadaniem demokratycznego polityka winno być wycucie tych potrzeb, sformułowanie ich w wyraźne postulaty i doprowadzenie ich tą drogą do świadomości mas, a wre-

szenie przewodniczenie masom w pracy i walce o realizację wysuniętych postulatów. Takie ujmowanie roli polityka wszelka reakcja sanacyjna czy endecka nazywa oczywiście poprostu „schlebianiem zachciankom mas“. Nad temi głosami możemy jednak przejść do porządku dziennego. W skali wartości demokracja potrzeby mas musi postawić znacznie wyżej od najmisterniej nawet wymyślanych koncepcyj jednostek czy grup, choćby te koncepcje upiękzone były całym aparatem „ideologicznej“ i pseudo-naukowej frazeologii. Jeśli już koniecznie zachcianki, to „zachcianki“ mas nierównie więcej cenimy, niż zachcianki jednostek i grup.

Wszystko to są prawdy oczywiste i dlatego... często zapomniane. Uważamy za konieczne uprzątnąć je sobie dziś, wobec nowej fazy, w którą, naszym zdaniem, wchodzi polski ruch demokratyczny, fazy, w której demokracja polska zajmie utracone pozycje. Żeby dziś wierzyć w demokrację, trzeba mieć trochę intuicji politycznej. Jutro do tego wystarczy już tylko mieć oczy otwarte — W tym czasie demokraci polscy szczególnie czujni być muszą na procesy, dokonywujące się w naszych masach. Zamykać na nie oczy byłoby samobójstwem politycznym, byłoby przegraniem walki przed jej rozpoczęciem.

Nie trzeba być szczególnie bystrym obserwatorem, by spostrzec, iż w warunkach naszej polskiej nędzy podstawowe kwestje chleba i pracy, oraz związane z niemi zagadnienia ekonomiczne, ogromnie interesują masy. Niejednokrotnie już też demokraci, trafnie wskazując na przykłady różnych dyktatur, pisali i mówili o tem, iż ktokolwiek przyjdzie do mas z gotowym programem socjalno-gospodarczym, któryby wskazywał sposób rozwiązania ogromnego węzłowiska naszych problemów gospodarczych, ma szanse powodzenia, choćby program jego był demagogiczny i głupi. Pisano już o tem dużo i mądrze. — Przyszedł czas na wyciągnięcie wniosków i powzięcie decyzji.

Jakiż ten wniosek? Czyż, wykorzystując to nastawienie mas, zacząć na gwałt tworzyć, nie gardząc tu i tam demagogją, program gospodarczo-socjalny, żeby poprostu „wykorzystać koniunkturę“? Polski ruch demokratyczny, którego rdzeniem jest narodowy ruch robotniczy, ruch, który w walce o interesy polskich robotników tworzył swoją historję, nie ma potrzeby uciekania się do takich środków. W statutach i programach partyjnych i związkowych, starych nawet, wiele jest postulatów i zasad, które dziś wykazują niezwykłą żywotność i aktualność. Trzeba je tylko uporządkować, sformułować wyraźny program socjalno-gospodarczy i położyć na tych samych postulatach dostatecznie silny nacisk w pracy propagandowej.

Słusznie powie ktoś, że demokracja, jako polityczna idea, a tembardziej jako pewna metoda or-

ganizowania społeczności, nie może przesądzać o szczegółach ustroju gospodarczo-społecznego. Jest to słusznem nawet wtedy, jeśli demokrację pojmujemy się znacznie szerzej niż ideał demokratyczny. — Demokracja, wywodząc się z najgłębszych pokładów sprawiedliwości społecznej, jeden tylko każdemu ustrojowi gospodarczemu stawia wymóg — żeby był sprawiedliwy. Nie może jednak demokracja, rzecz jasna, określać dokładnie formy porządku społeczno-gospodarczego. Wszystko to jednak nie znaczy, by prądy polityczne, oparte o zasady demokratyczne w określonym czasie i miejscu, nie umiały się wiązać z określonym ustrojem gospodarczym. Dla nas wątpliwości nie ulega, że ustrój kapitalistyczny, którego sprężyną jest interes kilkudziesięciu kapitalistów, zastąpiony być musi przez porządek, w którym interes społeczny będzie zasadą naczelną.

Tem, co powyżej napisałem, nie chcę się bynajmniej przyłączać do chóru tych cieniutkich głosików, co to od lat kilku nieśmiało ale sympatycznie głoszą o potrzebie „odsunięcia na bok polityki“ a załatwienia najpierw jakowychś, bliżej nieokreślonych zagadnień ekonomiczno-gospodarczych. Mętny ten „program“ znalazł niestety posłuch u większości związków zawodowych. Ludzie, którzy go głoszą są albo fenomenalnie naiwni (delikatnie mówiąc), albo też fenomenalnie tchórzliwi w swoim niezdecydowaniu między sanacją a pozorami opozycji.

Koniecznym warunkiem pomyślnego załatwienia naszych wielkich problemów gospodarczych jest zaprowadzenie w Polsce demokratycznego ustroju. Tylko ustrój demokratyczny może w Polsce wytworzyć atmosferę i warunki, w których wszelkie reformy gospodarcze nie będą się odbywały w próżni, ale w rzeczywistości. Dlatego też n. p. zacięty spór, jaki toczył się niedawno między „Gazetą Polską“ a „Kurjerem Porannym“ o deflację i inflację interesował nas raczej od strony literackiej, od strony publicystycznej ciętości pp. Matuszewskiego i Stpicyńskiego.

Mimo to jednak nie przeszkadza polskiemu ruchowi demokratycznemu dziś już powiedzieć w jakim pójdą kierunku konieczne przeobrażenia polskiego porządku społeczno-gospodarczego po zaprowadzeniu w Rzeczypospolitej ustroju demokratycznego.

Politycy, którzy nie chcą tego zrozumieć są politykami starej daty bez względu na wiek i na to czy się nazywają demokratami, albo inaczej. Ogólnikowe i do niczego nie zobowiązujące narzekania na kryzys i jermjady na „kapitalistyczny wyzysk“ nie zastąpią programu gospodarczego. Nie można masom wolności politycznych odmierzać pojemną wagą demokratycznych zasad, a codziennego chleba skąpą miarką kapitalistycznego rabunku.

A. JARECKI

Rola kobiety w naszym ruchu

Poniższe uwagi kol. Jareckiego, jednego z nowych współpracowników „Demokraty“ są naszym zdaniem trochę krzywdzące, jeżeli chodzi o kobiety ze środowiska robotniczego. Są one słuszne natomiast w stosunku do „płci pięknej“ klas posiadających, mieszczaństwa i

t.zw. inteligencji. Choć rzecz jasna wyjątków nigdzie nie brak.

Redakcja.

Pprzed niedawnym czasem jedno z większych pism warszawskich przystąpiło do swoich męskich czytelników z ankietą na oryginalny temat: „Co sądzić o kobiecie prawie głosowa-

nia?“. Rezultat tej ankiety, w której zabierali głos mężczyźni ze wszystkich sfer i zawodów, był rewelacyjny. W nadesłanych odpowiedziach panowała zgodność, że nasza pleć „piękna“ we wszystkich zagadnieniach, wychodzących cokolwiek poza ramy trywjalnych, materialnych trosk codziennych — jak n. p. zabieranie głosu w sprawach państwowych odznacza się zastraszającym brakiem orjentacji, rozbrajającą bezmyślnością i zupełnem zobojętnieniem.

Tyle rezultat ankiety. Ile w tym wyniku słuszności?

Gdy po kilkuletnim pobycie zagranicą — przeważnie w Niemczech — znowu powróciłem do kraju, uderzyła mnie wyraźna płytkość umysłowa ogółu naszej żeńskiej młodzieży, która po opuszczeniu szkół bądźto włącza się w proces produkcyjny, zajmując miejsce w biurze, w składzie czy w fabryce, bądźto też dalej pozostaje pod opiekuńczemi skrzydłami rodziców.

Otóż ta polska dziewczyna z domu mieszczańskiego, robotniczego lub włościańskiego, chociaż dzielna i użyteczna w swoim zawodzie, chociaż pozątem inteligentna, praktyczna, sprytna, unika jednak starannie każdej „zbytecznej“ pracy umysłowej — nienawidzi myślenia. Wystarczy podsłuchać jej rozmowy z przyjaciółkami, otrzymać list od niej, zaglądnąć do jej biblioteki (jeżeli wogóle coś w tym rodzaju posiada), towarzyszyć jej w rozrywkach, aby się przestraszyć z powodu niewytłomaczalnie ciasnego kółka pojęciowego, w którym jej zadowolony umysł się obraca. Poza swoim zawodem zainteresowanie okazuje jedynie dla trzech rzeczy: strojenia swej powierzchowności, wypełniania wewnętrznej próżni płytkimi rozrywkami, wreszcie dla flirtu — jej specjalności. Do szczęścia życiowego wystarczy naszej koleżance: być dobrze lub co najmniej efektownie ubraną, w asyście swego przyjaciela przyglądać się jak najczęściej w kinie sentymentalnościom i przepychowi produkcji hollywoodzkiej, chrupać przytem słodczyce — pozątem jeszcze bardzo chętnie — tańczyć. Wyższych życzeń przeważnie niema. Gdy wreszcie wyjdzie zamaż, wnet banalne podrzędności szarzyzny życiowej, łatanie spodni i gotowanie kawy staną się dla niej problemami, wypełniającami jej umysł po brzegi; a celem jej życia — to „indywidualna zupa ziemniaczana swego małżonka“ — jak szydzi Bernard Shaw.

Polska kobieta, o której na świecie mówią, że jest piękna, ze swoją niechęcią do samodzielnej pracy umysłowej jest z reguły w bardzo małym stopniu intelektualistką. W stosunku do mężczyzny, w tej wiecznej ofenzywie i defenzywie, operuje czysto „kobieci“ metodami — załawionemi w odpowiedniej chwili rżesami i znaczącym uśmiechem. Ten sposób walki wymaga od niej wielkiego nakładu sił i środków w kierunku pielęgnowania swej urody. Z cichym heroizmem, któryby był wart lepszej sprawy, poddaje swe ciało różnym kosmetycznym torturom, z których ma wychodzić powabniejszą — ku ucieście pism „brukowych“, czerpiących z tej jej słabości kolosalne dochody.

Tak żyjąc na powierzchni i dla powierzchni, nie odczuwa potrzeby posiadania własnego poglądu na tak ważne zagadnienia, które mają regulować wspólne pożytki ludzi i ludów na ziemi. Sama nie czuje się powołaną do wydawania sądu w sprawie donioślejszej wagi; w takim wypadku zwraca się prosto po instrukcje do mężczyzny, jak nam uczestnicy warszawskiej ankiety meldują. I w ten sposób Polka sama się degraduje do pustej poma-

lowanej lalki, do której czuć można — miłość, ale nigdy — szacunek. Wyciągając wniosek z tej ankiety trzeba stwierdzić: że wartość dzisiejszej polskiej kobiety pod względem społecznym i obywatelskim jest minimalna.

Czy może być inaczej i — czy powinno być inaczej?

Zwróćmy uwagę na Amerykankę, która w swoim kraju zajmuje niemal naczelne miejsce w życiu intelektualnem, patrzmy na Skandynawkę, gdzie każda niemal kobieta jest czynna w związku czy stowarzyszeniu o charakterze społecznym, zważmy nieporównanie wyższy poziom wyrobienia społecznego Niemki, przypomnijmy sobie bohaterskie robotnice austriackie, które dla obrony swego światopoglądu z entuzjazmem poszły na barykady, aby z karabinem w rękę, ramię w ramię z mężczyzną, bronić swoich praw, i tam dla swego przekonania (bez żalu oddawały młode życie morderczym granatami dollfussowskim).

Na podstawie tych przykładów stwierdźmy śmiało, że kobieta ma w takiej samej mierze co i mężczyzna zdolność zabierania głosu w sprawach publicznych.

Cemże możnaby sobie tłumaczyć rzekome upośledzenie umysłowe kobiety? Bezsprzecznie: logiczną konsekwencją różnicy płci jest pewna odrębność charakterów, odmienny choć równowartościowy sposób reagowania na otaczające nas zjawiska. — Innych różnic nie ma; niezem nie uzasadnione jest twierdzenie, że sąd mężczyzny ma większą wagę niż sąd kobiety, że jego jednostronny pogląd jest bliższy obiektywnej prawdzie. Dlatego kobieta ma rację zabierania głosu. A odkąd ją uwolniliśmy od patryarchalnej władzy ojca wzgl. małżonka, odkąd zrezygnowaliśmy na jej korzyść z naszych przywilejów, przyznaliśmy pod każdym względem równe prawa — od tej chwili ma ona również obowiązek zabierania głosu.

Czy wina nie spoczywa po naszej stronie? Wydaje mi się, że tak, bo zamażo żądamy od polskiej kobiety! Cenimy cię dziewczyno, która w fabryce, w turkocie maszyn, dzielnym i miłym nam jesteś kolegą, cenimy cię, która razem z nami jako ekspedjentka, biuralistka, nauczycielka własnymi rękami na swój chleb pracujesz, uznajemy wasze wysiłki młode mężatki, które w naszej nieobecności strzeżecie ogniska domowego — ale my musimy żądać więcej! Chcemy was usłyszeć z trybuny naszych zebrań, chcemy czytać wasze artykuły w naszej prasie związkowej i fachowej, chcemy czuć, że się zastanawiacie się nad swoją i naszą dolą, znaczeniem miejscem w społeczeństwie! Chcemy was widzieć zajęte aktualnemi zagadnieniami socjalnemi, rozpowszechnianiem takich myśli, jak walka z alkoholizmem, równouprawnienie dzieci nieślubnych itp. Chcemy, byście zrozumiały, że pierwsze stronicie gazety, to nie chińczyzna, ale obraz twardej rzeczywistości, pośród której życie, głęboka troska o dalsze wasze losy w tej naszej ojczyźnie; walka ideowa o lepsze jutro dla was i dla wspólnych naszych dzieci. Dlatego nie nas tak boleśnie nie dotyka, jak to wasze zobojętnienie i bagatelizowanie, które okazujecie względem najżywotniejszych naszych interesów. Cechą charakterystyczną niewolnika starożytnego była jego niezdolność zabierania głosu w sprawach państwowych; nie poniżajcie się same dla prostej wygody i niechęci myślenia, do roli niewolników! Chcielibyśmy, koleżanki, mieć szacunek dla was, lecz szanować można tylko równego sobie lub wyższego. Chętnie zrezygnujemy z

wystrojonego i lakierowanego cacka — nam trzeba dbywatelek, koleżanek, żon — z przekonaniem! — Wzniescie godność ludzką polskiej kobiety tak, że wreszcie sama straci ochotę i czas do malowania, przesiadywania w kinie, flirtowania.

Będzie mniej renegatów, karjerowiczów, przelotnych ptaków w naszych szeregach! Bo ktoby z nas mógł zostać opieszalym, obojętnym, gdy siostra zaapeluje do jego honoru, gdy koleżanka mu zagrozi swoją pogardą? Któżby z nas miał czoło dla materialnych korzyści pogwałcić swoje zasady, gdyby się musiał obawiać oburzenia i wyrzutów matki i żony?

W owych gorących dniach marcowych, podczas rozpaczliwej walki robotników wiedeńskich przeciw armatom reakcji kapitalistycznej — jakież

ogromne znaczenie moralne dla podtrzymania ducha miał współudział kobiet w walce! Wystarczyło tylko spojrzeć na jedną z nich, wciśniętą z karabinem między beczki, worki, paki papieru, pokrytą skorupą z krwi i kurzu — jak z zaciśniętymi zębami raz po raz repetuje, celuje i śmierć w szeregi przeciwników posyła — a na taki widok najpodlejszy tchórz musiał przeobrazić się w zacieklego mściciela.

My, młodzi, w naszej ideowej walce o Polskę lepszą, sprawiedliwszą, jaśniejszą, której każdą wolną chwilę poświęcamy, ze szczęścia rodzinnego rezygnujemy, w więzieniach przesiadujemy — jeżelibyśmy, zrażeni piętrzącymi się przeciwnościami, trwożliwie w tył oglądać się mieli — niech nasz wzrok zawsze znajdzie wasze oczy, pełne zrozumienia, życzliwości i zachęty.

Wygodnictwo duchowe

Kilka uwag na temat młodej „lewicy” sanacyjnej

Wiek, w którym żyjemy, jest pod pewnym względem bardzo dziwny i ocena jego wypada bardzo krytycznie. Jedną z plag, przynoszących ujmę naszemu życiu społecznemu, a przynoszącą hańbę młodemu pokoleniu chciałbym zająć się w niniejszych uwagach. Chciałbym mianowicie poświęcić uwagę temu, że młodzież obecna najchętniej i najskwapliwiej bierze w spadek od starego pokolenia jego wady, jego choroby. Zwracał już ktoś uwagę na wygodnictwo „fizyczne” jako jedną bardzo ważną i dotkliwą bolączkę młodego pokolenia. — Ja chciałbym omówić wygodnictwo duchowe, wygodnictwo ruchów, chcących być społecznymi, a starannie kryjących się pod płaszczem „duchów opiekuńczych” kapitalistycznych, w jaskrawej poproście sprzeczności stojących programowo od tych „szermierzy równości gospodarczej”. W pracy mej spotkałem się z zawiązkami (spojrzawszy przez bardzo silnie powiększające okulary) ruchów społecznych, usiłujących pod „rozumnie” wybranym protektorem sanacji, dokonać olbrzymich zmian w ustroju społecznym naszego państwa. Działacze tych organizacji, zagadnięci jak potrafią pogodzić wysługiwanie się sanacji z walką o nowe formy ustrojowe społeczne, odpowiadali zasadniczo trzema argumentami. Pierwszy — to rzeczowe ustosunkowanie się do każdego wysiłku, do każdej pracy, drugi — to ich głęboki patriotyzm, trzeci — to twierdzenie, wypływające z dwu poprzednich: rzeczowe ustosunkowanie się do rządu, jako władzy państwowej, jako konieczności. Rozprawiając się z pierwszym argumentem, należy jedynie podnieść bardzo wysoki stopień kurtuazji, grzeczności wprost lizilańskiej, ustosunkowania się do pracy n. p. twórców nowej „konstytucji”, odbierającej ludowi prawa, stwarzającej podział na obywateli lepszych i gorszych.

Radziłbym tym panom wybrać inną fizjognomję społeczną — zamiast przynosić swą firmą hańbę lewicy społecznej.

Odnosnie drugiego argumentu; powoływanie się na patriotyzm uważam za mydlenie oczu niedorozwiniętym, którzy nie potrafią rozróżnić istoty rządu od państwa. Co do mnie zawsze byłem i jestem przekonany, że rząd ma stanowić władzę wykonawczą w państwie i nie można wierności państwu utożsamiać z wiernopoddanctwami holdami dla rządu, bez względu na słuszność jego poczynań. W odniesieniu zaś do sanacyjnej lewicy młodzieżowej

trudno poproście sobie wyobrazić jej zajądlność w obronie kapitalistycznego rządu i zamykanie oczu na jego fatalne społeczne skutki. Napisałem, że patriotyzm lewicy sanacyjnej jest mydleniem oczu, bo młodzież wszystkich kierunków, siedząca w sanacji, stara się nowowstępującym do ich szeregów a zdeзорjentowanym szumnymi nazwami związków i związeków, dokumentnie zatrzeć różnicę między pojęciami rządu i państwa. Trzeci argument „rzeczowego ustosunkowania się do rządu” wymaga tylko przytoczenia paru faktów z wczorajszego dnia życia publicznego. Ostatnie czasy brutalnie zdarły maskę, pokrywającą przyczyny tego „rzeczowego ustosunkowania się do rządu” lewicowych ruchów młodzieżowych. Wspomnijmy tylko niesławny upadek „Legjonu Młodych”, gdy rządowi jego „rzeczowe ustosunkowanie” zaczęło stawiać na drodze i... odmówił poparcia finansowego... Wspomnijmy przedwyborczy kryzys charakterów do niedawna cenionych przywódców opozycji, którzy „rzeczowe ustosunkowanie się do rządu” uwarunkowali otrzymaniem synekur poselskich czy senackich. Wspomnijmy wszystkich, których i niektóre zdrowe odłamy sanacji nazywają żołnierzami 100-ej czy 200-ej brygady.

Po tём zestawieniu to wprost na kpiny zakrawa argument, powtarzany od czasu do czasu, że gdy taka czy inna lewicowa organizacja młodzieży sanacyjnej dojdzie do władzy, to zmieni panujące porządki.

Nasze stanowisko wobec rządu, wobec dyktatury kapitalistycznej jest stałe i poważne. Uważaliśmy zawsze za świętą zasadę, głoszoną przez Sienkiewicza: „Nie należy bić — choćby pozornie — pokłonów przed fałszywymi prorokami” i stwierdzić możemy, że zasada ta nas nie zawiodła i nie zawiedzie. Uważamy, że hańbiącym byłby dla młodzieży robotniczej stosunek t. zw. rzeczowy do rządu, kryjący pod tą obłudną nazwą rezygnację z walki o realizację naszych haseł. Ustosunkowywanie się „rzeczowe” organizacji młodzieży lewicowej do rządu, uważamy za wstrętne wygodnictwo duchowe, za okłamywanie i utrzymywanie w błędzie samych siebie i drugih, przez organizację, mieniającą się kuźnią postępu w walce o sprawiedliwy ustrój społeczny państwa. Za zdolny do przebudowy społecznej Polski możemy uznać jedynie ruch odważny, zdecydowany, gotowy do ponoszenia ofiar w ciężkiej walce.

Feliks Antczak

Na froncie życia

Na froncie politycznym

Nie tyle zmiany — ile zapowiedź zmian. Nowy rząd pp. Kościalkowskiego i Kwiatkowskiego, z którymi pewne koła wiążą tyle nadziei — jest w gruncie rzeczy polską *kieręnszczyzną*. Szumne zapowiedzi i hasła, to... słowa, słowa i jeszcze raz słowa. Choćby nawet bowiem obaj wyżej wymienieni panowie ożywieni byli najlepszymi chęciami — w ramach systemu sanacyjnego nic nie da się zrobić. Ani w dziedzinie skarbowej, ani społecznej, ani w żadnej innej. Na przeszkodzie stoi *kryzys zaufania*. Póki ten kryzys nie zostanie przełamany, walka z wszelkimi innymi kryzysami jest beznadejmną. Kryzysu zaufania zaś nie przełamie się, póki w roli parlamentu występować będzie poroniony twór p. Sławka, a w roli stronnictw sejmowych... grupy regionalne, póki emigranci polityczni nie wrócą do kraju, więźniowie ideowi nie wyjdą na wolność, a szary człowiek nie nabierze przekonania, że władze traktują równomiernie wszystkich obywateli. Wiedomym znakiem przełamania kryzysu zaufania będzie moment, kiedy ludzie w Polsce przestaną mówić szeptem, przy zamkniętych drzwiach w trwożliwym oglądaniu się, czy ktoś nie podsłuchuje. Od tego ideału jesteśmy dziś, pomimo mowy p. Kościalkowskiego, ogromnie daleko.

Jedno nie ulega wątpliwości — łódź polska oderwała się już od sanacyjnego brzegu. Sprawiły to dwa ciosy, które na przestrzeni ostatnich 6 miesięcy spadły na obóz sanacyjny. Są nimi: śmierć Marszałka Piłsudskiego i przegrane wybory parlamentarne.

Z pod ciosów tych „obóz sanacyjny“ podnieść się już nie może. Dla wszystkich, którzy mają cokolwiek wyobraźni politycznej — nie ulega to najmniejszej wątpliwości *Przez kraj idzie wielka tęsknota do wielkich przemian*. Pędu tego nikt i niczem zatrzymać nie zdoła. Małemi „refoformkami“ i „klajstrowaniem“ nikt się już dziś nie zaspokozi.

Tembardziej — robotnicy i chłopi!

Bierbankpolitik

W ostatnim numerze „Demokraty“ zapowiedzieliśmy omówienie wyniku wyborów do sejmu i senatu w „następnym numerze“.

Dając takie przyrzeczenie byliśmy moralnie przekonani, że do tego czasu rząd ogłosi oficjalne wyniki tych „wyborów“. Niestety to nie nastąpiło. Zajmowanie się tą sprawą jest więc bezprzedmiotowe, zważywszy, że na podstawie materiałów, które posiadamy, niewiele moglibyśmy powiedzieć, więcej, aniżeli napisano dotąd w prasie sanacyjnej.

Interesując się temi „wyborami“ ze stanowiska teoretycznego, możemy jednak już dziś z całą pewnością stwierdzić, że „ordynacje wyborcze“ p. Sławka egzaminu życiowego nie zdały. — Eksperyment się nie udał. Potwierdzają to wybory i potwierdza to, co z tych „wyborów“ wyszło, a co na ironję nazywa się Sejmem i Senatem. Ani powagi, ani niezależności, ani możliwości działania te ciała „parlamentarne“ nie posiadają. W życiu polskim spełniają anegdotyczną rolę piątego koła u wozu. Ciąży nad nimi

grzech pierworodny ordynacji wyborczej, która: 1) uprzywilejowała t. zw. wielkości lokalne, umiejące myśleć nie kategoriami politycznymi lecz kategoriami zaścianków, 2) umożliwiła zdobycie mandatów (za wyjątkiem dygnitarzy rządowych) ludziom ani gofącym ani zimnym — tylko „letnim“, ludziom pokornym, których największą zaletą było to, że umieli się przystosowywać, 3) uzależniła moralnie „wybrańców“ narodu od władz administracyjnych.

Nic dziwnego, że obrady tego swowistego parlamentu, to — zabawne widowisko. Pisze o tych obradach jeden ze sprawozdawców sejmowych, bynajmniej nie opozycyjnie nastrojony tak: „Wstawał jeden po drugim i gawędził. Niemcy nazywają tego rodzaju pogawędkę: Bierbankpolitik. Po pracy codziennej schodzą się sąsiedzi na kufel piwa do „swojej“ gospody. Pan aptekarz, pan leśniczy, piekarz z naprzeciwka. Gaworzą sobie o sprawach publicznych. Bez obliża i bez skutków. Bierbankpolitik. Otóż taką polityką przy piwie, choć bez piwa, są rozprawy sejmowe.

Nawet najnieudolniejsze pod względem formalnym przemówienie posła prawdziwego może być i bywa oddźwiękiem wyobrażeń i przeżyć zbiorowych, bywa odgłosem jakiejś myśli społecznej, jakichś potrzeb i dążeń, sprężniętych wewnętrzną mocą organiczną. Ze splotu tych oddźwięków i głosów wunurzają się moce utajone, rodzi się idea twórcza, płodna w czyn, dźwigany świadomością i odpowiedzialnością obywateli“

Inaczej to jest „Bierbankpolitik.

Gdzie można nabywać Demokratę?

Miesięcznik „DEMOKRATA“ ukazuje się co miesiąc i jest do nabycia:

W TORUNIU: ul. Legionów 29

W POZNANIU: ul. Wrocławska 14 m. 4

W CHORZOWIE: ul. Krzywa 14

W KRAKOWIE: ul. Karmelicka 12 m. 11

W ŁODZI: ul. Wólczańska 139

W SOSNOWCU: ul. Marjacka 1

W GDYNI: ul. Stupecka 30, I p.

W GNIEŹNIE: ul. Warszawska 14

W GRUDZIĄDZU: ul. Małogroblowa 8

W WŁOCŁAWKU: ul. Szkolna 2

Najwygodniej jednak zaabonować „Demokratę“ przez pocztę, przyczem opłata kwartalna wynosi 1,— złoty. — Należność za prenumeratę przekazywać można również przez P. K. O. Nr. 214 407 lub zapomocą niebieskich przekazów rozrachunkowych nr. kartoteki 14.

Na froncie gospodarczym

Ostatnie wynurzenia na temat stosunków gospodarczych w Polsce wicepremiera i ministra skarbu p. Kwiatkowskiego jak i ekspozycja premjera Kościalskiego w Sejmie, jakkolwiek pod wieloma względami uderzyły w niesłyszane dawno tony, jednak w zasadniczych punktach nie wiele odbiegły od tego, co słyszymy od kilku lat. Oto uzdrowienie gospodarki a przede wszystkim budżetu państwowego opierać ma się na krańcowej oszczędności. Jest zrozumiałe, że redukcja wydatków państwowych jest konieczna. Doświadczenie jednak uczy, że oszczędności według dotychczasowej recepty, podrywały tylko egzystencję licznych rzesz pracowników państwowych. U nas każdy krok w dziedzinie gospodarczej winien być obliczony na platformie społecznej. — Oszczędności, to broń obosieczna; można zdziałać wiele dobrego, ale i wiele złego.

Jest bowiem kwestją co najmniej wątpliwą, czy stan gospodarczy można samą tylko oszczędnością uratować. Trzeba bowiem pamiętać, że *oszczędność z punktu widzenia ekonomicznego jest elementem raczej ujemnym*. Jest niewątpliwem, że istnieją sytuacje w gospodarce narodowej, gdzie czynienie pewnych oszczędności może tylko być zbawienne. Należy pamiętać, że *oszczędność nie powinna w żadnym wypadku zmniejszać siły nabywczej, a powinna raczej ograniczać bezmyślne i szkodliwe trwonienie dóbr materialnych*.

To też gdy czyni się oszczędności na płacach pracowników niższych kategorii i wogóle ludzi, żyjących tylko z pensji, ogranicza się ich siłę nabywczą co powoduje szereg niekorzystnych konsekwencji w dziedzinie produkcji i wymiany, jak i zapotrzebowania. Co innego natomiast, gdy marnuje się wydatki tak niezmiernie różnorodnego źródła skapitalizowanego wysiłku produkcyjnego społeczeństwa, jakim jest skarb państwa. Tutaj dzieje się naprawdę powszechnie wiadome, niezrozumiałe trwonienie produktywnych możliwości, jakim jest pieniądź.

Pieniądź może być w jakimś kraju mało, a jednak przez rozumne rozlokowanie go, można być w stanie umożliwić naprawdę wysokoproduktywną, a więc twórczą, działalność. — Pieniądź ma wartość dla ogólnej gospodarki tylko wtedy, jeżeli *jak najczęściej kursuje pomiędzy producentem a konsumentem*. Musi on stale krążyć. Słusznie bowiem się mówi, że pieniądź — to krew organizmu gospodarczego. Krew musi w swoim krążeniu dotknąć swoim używnym dzia-

łaniem każdą komórkę. Również pieniądź musi w ten sam sposób działać. Działanie jego powoduje wymianę świadczeń, wzmacnia spożycie i podnosi wytwórczość.

Oszczędność fałszywa więc łatwo może się zmienić w zmniejszenie obiegu pieniądza, co pociąga za sobą zmniejszenie siły nabywczej.

W dobie nadprodukcji z jednej a ogromnego osłabienia siły nabywczej z drugiej strony — *nieracjonalne rozmieszczenie pieniądza musi być uważane aktualnie za największe zło*. — Pozbawianie szerokich mas ludności pieniądza, a więc osłabianie ich siły nabywczej i równocześnie nadmierne pchanie pieniądza w ręce nielicznych jednostek o zgóry ograniczonej sile nabywczej — musi się fatalnie odbijać na uregulowanej i racjonalnej wymianie świadczeń. To też potrzebne jest w tej materji szukać dróg, któreby to zagadnienie uregulowały,

Demokracja, pojęta wszechstronnie, nosi w sobie rozwiązanie tych gospodarczych niedomagań. Oczywiście, że nie może tu być mowy o jakimś sztywnym systemie. Musi on być elastycznym, dopasowanym do każdorazowej sytuacji gospodarczej. Na czoło wybija się tutaj kwestja płac. Do tej sprawy podchodzi się u nas li tylko pod kątem widzenia opłacalności indywidualnych jednostek gospodarczych. W warunkach, w jakich się znajdujemy, sprawy te muszą być regulowane ogólnie, w ramach całej naszej struktury gospodarczej i społecznej. Podwyżka płac w dzisiejszym pojmowaniu t. zw. sfer gospodarczych jest równoznaczna ze zmniejszonym zyskiem przedsiębiorcy. Uwzględniając pierwiastki etyczne stwierdzić trzeba, że *zwiększona płaca gospodarczo dodatniej działa, aniżeli wielki zysk kapitalisty*. Podwyżka płac pracowników oznacza: większe zużycie towaru i świadczeń. Tymczasem *zysk przedsiębiorcy proporcjonalnie do płacy pracownika działa gospodarczo znacznie słabiej*. Należy sobie uprzytomnić, że *w wymianie towarów decyduje zapotrzebowanie jednostek*. Niedostatek wielkiej masy jednostek o stałej sile nabywczej w żadnym wypadku nie może być zrównoważony przez wielką siłę nabywczą zamożnych jednostek. Zbytek jednostek nie może w żadnym wypadku zrównoważyć niedostatku mas. *Działanie gospodarcze zbytku jest pozatem tylko przypadkowe*, gdy potrzeby niezamożnych mas są stałym zjawiskiem, więcej nawet, bo prawem ekonomicznem, wiążącym się ściśle z prawem o podaży i popycie.

Dlatego też my racjonalnemu rozwiązaniu kwestji płac przypisujemy zasadnicze znaczenie. Zdajemy sobie bowiem sprawę z tego, że rozwiązanie tego zagadnienia w należyty sposób,

pociągnąć musi za sobą zwiększony zbyt towarów i ożywienie produktywności.

Kwestja płac wiąże się ściśle z zagadnieniem czasu pracy. Wydaje nam się, że skrócenie czasu pracy należy traktować jako pewnego rodzaju podwyższenie płac, a właściwie jako podniesienie wartości pracy. Utrzymanie płac względnie ich podwyższenie przy pracy musi w rezultacie dać większe zatrudnienie bezrobotnych z powodu zwiększenia się wytwórczości na skutek zwiększonej siły nabywczej mas, dzięki lepszym płacom.

Jeżeli chodzi o uzdrowienie finansów państwa, to jest to *możliwe jedynie przy jednoczesnym uregulowaniu stosunków w gospodarce prywatnej*. Oszczędności, czynione na płacach niższych przedewszystkiem kategorii, zmniejszą wprawdzie rozchody, ale równocześnie spowodują jeszcze większe ograniczenie się w spożyciu towarów. Ponieważ pracowników państwowych jest w Polsce dość dużo, więc zmniejszenie siły nabywczej tak poważnego odsetka ludności musi odbić się ujemnie na całokształcie naszych stosunków gospodarczych.

Zysk jednostek nie może dominować nad zaspokojeniem najprymitywniejszych potrzeb mas. Wydany zarobek na kupno najpotrzebniejszych towarów jest znacznie bardziej ożywczym działaniem gospodarczym, aniżeli chowanie wielkich zysków w safesach banków zagranicznych. Pomajowe rządy z potrzebami społecznymi mas nigdy poważnie się nie liczyły. Dziś też mamy takie tego skutki: z jednej strony — sanacyjnych dorobkiewiczów, bogatych przemysłowców i ziemian, a z drugiej — zbiedzone masy i olbrzymie bezrobocie, oraz zanikająca opłacalność mniejszych warsztatów pracy.

Oszczędność, o jakiej obecnie znowu się słyszy, winna nie oznaczać dalszego zmniejszania siły nabywczej, lecz położenie kresu marnotrawstwu grośza publicznego.

Fr. Kłosiński

Na froncie pracy

Agencja półrządowa zapowiedziała nową reorganizację ubezpieczeń społecznych. Jest to już piąta coś reorganizacja w ciągu ostatnich lat sześciu. Tym razem reorganizacja ma być powierzona jakoby ludziom „reprezentującym czynnik społeczny i wykazującym znajomość spraw ubezpieczeniowych”.

Wynikałoby stąd, że dotychczasowe reorganizacje były przeprowadzane przez ludzi przeciwnego pokroju. W każdym razie szczere przyznanie się do winy połowę jej zmażuje.

Zachodzi jednak obawa, że znowu to będą urzędowi reprezentanci „czyn-

nika społecznego", którzy w razie potrzeby zawsze i wszędzie godnie go reprezentują, jak pp. Klarner, Jurkiewicz i inni podobni; są oni niby owi czterej wójtowie z Kongresówki, wybrani z pośród najlojalniejszych, którzy przy koronacjach carskich reprezentowali „ludność” kraju przywiślańskiego”.

Nieustanne reorganizacje dotyczą przede wszystkim form organizacyjnych instytucji ubezpieczeniowych: zmieniają się nazwy instytucji, inicjały, druki i blankiety, przesadzani są urzędnicy, robione posadki dla protegowanych; te i owe posunięcia reformatorskie niekiedy wyraźnie mają na oku personalja. A przy reorganizacji form udaje się często obcinanie treści.

Szał reorganizatorski panuje wszędzie w państwach elitarystycznych. Władza dostaje się w ręce niefachowców, dyletantów, którzy niezajomość danego działu administracji, jaki z łaski losu wpadł im w ręce, starają się pokryć wybujałą inicjatywą w sprawach formy; reorganizują więc bez miary i końca, by w ten sposób błysnąć na niebie biurokracji i otrzymać rangę „tęgiego organizatora”. Inni współkoledzy ze stolców dygnitarskich im w tem nie przeszkodzą, bo nie znają się na tem i sami „reorganizują” u siebie, a o zahukaną opinię publiczną ktoby się tam troszczył.

Polska pod tym względem nie pozostaje w tyle za innemi państwami, w których rządzą elity. Najmocniej bodaj chorobą reorganizacji chronicznej dotknięte są instytucje, zwane ongi „zdobyciami socjalnemi”, a dziś coraz mniej popularne właśnie w szerokich sferach ludności. Taki n. p. Fundusz Pracy, ciągle reorganizowany, przeżył bolesną a gruntowną reorganizację przy wchłanianiu w dn. 1 kwietnia Funduszu Bezrobocia, obecnie jest w stadjum reorganizacji, związanej z połączeniem Funduszu Pracy ze Stowarzyszeniem Opieki nad Młodzieżą Niezatrudnioną, a na najbliższego 1 kwietnia znów będzie reorganizowany w kierunku jaknajszerszej decentralizacji organizacyjnej.

Młyn reorganizacyjny turkocze coraz głośniejsze, nie licząc się ani z potrzebami istotnemi, ani z życiem, ani z cierpieniami ofiar reorganizacji, czyli rzesz szerokich.

Reorganizacja jest więc rzeczą nieuniknioną, gdyż inaczej „tędzy organizatorzy” nie mieliby pola do czynu. W ubezpieczalniach społecznych takie właśnie wdzięczne pole otworzyło się z chwilą usunięcia wpływów ogółu ubezpieczonych na bieg spraw w tych instytucjach. Niemalą tu winę ponosi P. P. S., która w swoim czasie poparła zniesienie samorządu wzamian za posady komisarskie dla Żuławskiego i towarzyszy; dziś, gdy posady te zajęli inni, P. P. S. przypomina sobie sentyment do samorządu.

Poza kryzysem i wypływającym zeń zmniejszeniem dochodów i obrotów ubezpieczalni społecznych, niewątpliwie do zmniejszania nieustannego świadczeń i pomocy, otrzymywanych przez ubezpieczonych, przyczynia się walna moda nieustannego stanu reorganizacji, w jakim ubezpieczalnie społeczne stale się znajdują. Nabywanie doświadczenia przez organizatora jest rzeczą kosztowną.

Ubezpieczalnie społeczne tracą na popularności, stając coraz bardziej w sprzeczności z zamierzeniami pierwotnych swych twórców. W kołach inteligencji pracującej nie były one nigdy zbyt popularne, a to dzięki temu, że płacąc wyższe składki od swych wyższych płac, ta klasa ubezpieczonych mogła pretendować tylko do przeciętnych świadczeń leczniczych; jednakże ideowy odłam tych pracowników popierał ubezpieczenia społeczne z przesłanek idealnych, nakazujących maszerowanie wspólne z rzeszą robotniczą.

Dziś ubezpieczalnie społeczne straciły swe znaczenie dla rzesz pracowniczych nie tylko jako rozdawczynie świadczeń wzamian za składki, ale i jako placówki pracy społecznej; stały się one podwórkami biurokracji i chyba tylko rzesze urzędników ubezpieczalnych są jeszcze do nich szczerze przywiązane.

Coraz mniejszem też zaufaniem cieszą się ubezpieczalnie w sferach robotniczych: nieustanne obcinanie świadczeń, cofanie ubezpieczonym ich praw nabytych, niepewność wogóle co do przyszłości ubezpieczeń i co do przyszłych rent starczych czy inwalidzkich, biurokratyczna gospodarka i fantazje „tęgich organizatorów”, — wszystko to razem wzięte sprawia, że w kołach robotniczych poczynają

się szerzyć pełne zniechęcenia opinie, kwestjonujące wogóle pożytek takiego rodzaju ubezpieczeń.

Związki kapitalistyczne zacieraają ręce i przewidują chwilę, w której znikną z powierzchni życia polskiego ubezpieczenia społeczne; a przecież gorliwym propagatorem tych ubezpieczeń był ongi Bismarck, który w nich widział podstawę mocarstwa wojski pruskiej.

Różne widocznie bywają drogi, wiodące do mocarstwowości.

S. Sienisławski

Od Redakcji

Dowiedziawszy się, że p. senator Grajek, prezes Związku Górników Z. P. w artykule p. t. „Gasnącemu światu” dopatrywał się... ataku na ZZP, oświadczamy co następuje:

Konia z rządem ofiarujemy każdemu, kto przed bezstronnym sądem potrafi udowodnić, że w artykule tym w jakiejkolwiek formie zostało zaczepienie Zjednoczenie Zawodowe Polskie.

Gdyby p. Grajek uważał przeczytał artykuł ten, doszedłby bezwątpienia do przekonania, że nie ulegająca wątpliwości ujemna ocena jego działalności publicznej — dotyczyła odcinka politycznego i odnosiła się wyłącznie do tych czasów, kiedy był on działaczem N. P. R.

Oceną działalności p. Grajka, jako działacza zawodowego dotąd nie zajmowaliśmy się.

Choćbyśmy to uczynili, co nie jest wykluczonem, to nikt poważnie patrzący na sprawy, nie mógłby mieć do nas pretensyj o to, jeżeliby ta ocena wypadła ujemnie. Chyba, że się stoi na stanowisku, że zadaniem organów prasowych Narodowego Ruchu Robotniczego jest bezkrytyczne pochwalanie wszystkiego, co przywódcy czynią. — *Tak kiedyś było, ale już tak nie jest i nie będzie.* Przynajmniej my młodzie nie pójdziemy drogą palenia kadzi-deł przed przywódcami, z których kierunku działalności nie godzimy się. Masy według naszego mniemania winne być wychowane w szczerości. Ich stosunek do przywódców powinien być lojalny, ale nie bałwochwalczy i bezkrytyczny.

Z drugiej strony nikt, nawet prezes organizacji nie może siebie utożsamiać z organizacją.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie 40 groszy. Kwartalnie 1 złoty. Prenumeratę wpłacać można zapomocą przekazów obrachunkowych (numer kartoteki 14). Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.

Pismo ukazuje się stale pierwszego każdego miesiąca.

Adres Redakcji i Administracji: Toruń, ul. Legionów 29. Oddział w Poznaniu, ul. Wrocławska 14 m. 4.

Wydawca: Zarząd Główny Związku Młodzieży Pracującej „Jedność”. — Redaktor: Zygmunt Felczak, Toruń ul. Legionów 29.

Drukiem Drukarni Robotniczej Sp. z o. p. Toruń, Legionów 29.